



DODATEK LITERACKI

DO „DZIENNIKA WILEŃSKIEGO“.

W hołdzie wielkiemu uczonemu.

Wśród szybkiego tętna życia politycznego, wśród trosk codziennych, niemal niepostrzeżenie przechodzą ciche święta nauki, w których garstka przyjaciół i wielbicieli składa hołd najznakomitszym uczonym. Do takich właśnie obchodów należy jubileusz czterdziestoletniej pracy na katedrze Uniwersytetu Lwowskiego profesora Oswalda Balzera. Zdobył on sobie głośne imię w nauce całym szeregiem gruntownych prac z dziedziny historii prawa polskiego, stał się wprost pionierem tej gałęzi wiedzy u nas. Wśród licznych dzieł prof. Balzera najważniejsze miejsca zajmują: *Geneza Trybunału Koronnego*, *Genealogja Piastów*, *Corpus juris Polonici*, *Skarbiec i Archiwum Koronne w dobie przedjagiellońskiej* i wreszcie 3 tomowe *Królestwo Polskie 1295—1370*. We wszystkich swych pracach umiał łączyć niezwykłą drobiazgowość i sumiennosc w szczegółach z jasnym i szerokim poglądem na całość przedmiotu. Oprócz pracy twórczej rozwinął szeroką działalność pedagogiczną, wykształcił cały zastęp historyków i prawników, z których nie jeden już zajmuje katedrę uniwersytecką. Jako doskonały organizator stworzył prof. Balzer w 1901 r. we Lwowie *Towarzystwo popierania nauki polskiej*, które stało się ważną placówką naukową. Dzisiaj instytucja ta przekształcona od r. 1920 na *Towarzystwo naukowe*, posiada już wspaniały dorobek w postaci kilkudziesięciu tomów wydawnictw swoich, obejmujących najróżnorodniejsze dziedziny wiedzy.

Słowem, zasługi prof. Balzera, zarówno, jako badacza samodzielnego, jak i pedagoga oraz organizatora pracy naukowej są olbrzymie. Nie wyczerpują one bynajmniej całokształtu Jego twórczości. Prof. Balzer to nie tylko znakomity uczony, ale przede wszystkim gorąco miłujący swój kraj obywatel. I na tem polu posiada on też niepożyte zasługi. Wśród działalności jego obywatelskiej należy na pierwszym miejscu —

poza założeniem Towarzystwa Naukowego — wymienić obronę w roku 1902 praw naszego narodu w sporze z Węgrami o Morskie Oko, które, dzięki znakomitej mowie prof. Balzera, zostało przyznane Polsce. Innym razem, kiedy słynny historyk niemiecki, Teodor Mommsen, z lekceważeniem wyraził się o kulturze słowiańskiej, Balzer w otwartym liście wystosował protest do uczonego niemieckiego. — Zresztą we wszystkich najważniejszych momentach życia narodowego prof. Balzer zabierał głos, składając dowód, że głęboka praca naukowa nie wystudziła w nim gorącego serca, odczuwającego wszystkie poruszenia życia społecznego.

W celu uczczenia tych niepospolitych zasług naukowych i obywatelskich, wśród najbliższych przyjaciół i uczniów Jego powstała myśl wydania Księgi Pamiątkowej ku czci Oswalda Balzera. Myśl ta zaczęła przybierać rzeczywiste kształty w początkach r. 1924. Realizacją tej myśli zajął się prof. Przemysław Dąbkowski. Zasługą prof. Dąbkowskiego, który się podjął całej korespondencji, prowadzenia korekty i wogóle pieczy nad całym wydawnictwem, jest ukazanie się tej wspaniałej dwutomowej księgi. Oprócz prof. Dąbkowskiego do Komitetu Redakcyjnego należeli: Profesorowie Władysław Abraham i Leon Piniński. W księdze ku czci prof. Balzera wzięli udział uczeni nie tylko polscy, ale i obcy, zarówno przedstawiciele nauk humanistycznych, jak i przyrodniczych. Siedemdziesięciu sześciu uczonych ogłosiło swe prace w tem wydawnictwie. Cała Polska, wszystkie jej ośrodki naukowe zjednoczyły się w tym hołdzie: Lwów (37 autorów), Kraków (9), Warszawa (9), Poznań (6), Wilno (4), Lublin (2) i Gdańsk (1). Oprócz tego wzięło udział w księdze kilku uczonych zagranicznych. W języku polskim znajduje się 67 rozpraw, w czeskim 2, chorwackim 2, bułgarskim 1, francuskim 2, angielskim 1.

Wśród dziedzin, reprezentowanych w księdze, wymienić należy: historję polityczną, historję prawa (polskiego, litewskiego, czeskiego, bułgarskiego, rosyjskiego, kościelnego), prawo obowiązujące, prawo narodów, ekonomja, historja literatury (powszechnej, polskiej, wschodniej), historja sztuki, muzyki, heraldyka, genealogja, filozofja, geografja, zoologja, medycyna, nauki techniczne. Nie sposób nawet w najogólniejszych zarysach omówić wszystkich rozpraw, wypadnie zatrzymać się tylko na kilku działach.

Z historji literatury znajdujemy następujące rozprawy: Wilhelma Bruchnalskiego p. t. *Mickiewicza „Dziady“ wileńskie wobec Chateaubrianda powieści: „Atala“ i „René“*. Autor dochodzi do wniosku, że analogje pomiędzy temi utworami, a „Dziadami“ wileńskimi, szczególnie ich IV częścią są niewątpliwe, chociaż i tutaj pozostaje wiele zagadek nierozwikłanych, jak niezalutwionem jest pytanie, czy i w jakim stopniu pokrewieństwo to nie krzyżuje się z wpływami kultury duchowej innemi, a pochodzącemi od takich duchów przewodnich, jak Cervantes, Goethe, Rousseau it. d. — Prof. Kleiner poruszył ciekawe zagadnienie z mistyki Słowackiego w rozprawie: „Ogień i Lucyfer“ u Słowackiego i Aleksandra Guirauda. —

Dr. K. B ad e c k i zamieścił studjum o Sofronie, tragedji żebraczej, dr. B e r n a c k i o nieznanym wierszach Trembeckiego, dr. H a h n o utworach dramatycznych Józefa Wybickiego: „Samnitka“ i „Warro na wsi“.

Z całego szeregu innych niezwykle cennych utworów wymienić należy dwa, które mogą wzbudzić szczerze zainteresowanie. Doktor C z o ł o w s k i A l e k s a n d e r dał piękny szkic „Łzy Króla Jana III“, w którym w sposób bardzo żywy, lecz pełny smutku, opisał zawarcie pokoju Grzymułtowskiego z r. 1686, na podstawie którego Rzplita straciła olbrzymi szmat ziemi na korzyść Moskwy. — Prof. S e m k o w i e z Władysław dał nowy, niezwykle ciekawy przyczynek do kwestji św. Stanisława, na podstawie nowego źródła ikonograficznego, mianowicie rzeźb, znajdujących się w Szwecji.

Na tych kilku wzmiankach musimy poprzestać, zaznaczając ogólnikowo, że księga posiada niezwykle bogatą i obfitą treść.

Pod względem wydawniczym księga dzięki zakładowi im. Ossolińskich, przedstawia się wspaniale, zdobia ją liczne ilustracje w tekście i na oddzielnych tablicach.

Komitetowi Redakcyjnemu należy się prawdziwa wdzięczność za tak piękne i pożyteczne wydawnictwo.

K. Chodynicki.

Czas akcji w „Panu Tadeuszu”.

I. Co o tem dotychczas sędzono.

Zagadnienie, wyrażone w tytule notatki ma wcale liczne rozgałęzienia. Bo aczkolwiek poeta postawił sprawę jasno, zaznaczając zgóry, że *Pan Tadeusz* jest „historją szlachecką z r. 1811 i 1812“, to jednak w różnych nieporozumieniach tekstu sam dał dostateczną podniętę do szeregu wątpliwości i pytań. Tak np. przy uważniejszej lekturze nasuwa się pytanie, czy poeta odrazu, od pierwszego pomysłu *Pana Tadeusza* umieszczał akcję w latach wskazanych ostatecznie na karcie tytułowej. Czy też przypadkiem nie zahaczał początkowo jej szczegółów o wypadki i stosunki dziejowe inne, nieprzystające do sytuacji z przedednia wojny 1812 roku, i czy z tych wahań pierwotnych nie pozostał jaki ślad anachronizmu w poemacie? Okazało się, że tak. Studjum autografów i analiza tekstu pozwoliły wyróżnić dość dokładnie trzy etapy pomysłu: akcja *Pana Tadeusza* miała się skupić najpierw około r. 1813 czy później (po śmierci księcia Józefa w każdym razie), potem około r. 1807 (na tem tle rozplanowano jeszcze księgę IV), ostatecznie zostało przy 1811 r. Teraz dalej. Istnieją w poemacie, jak wiadomo, dwa różnoczasowe ogniska akcji: rok 1811 dla ksiąg I do X, i rok 1812 dla dwu ostatnich. Do jakiego więc stopnia można ściśle ustalić, wyznaczyć w kalendarzu dwa te momenty, w jednej i drugiej grupie? Czy można określić miesiące, może nawet dni, opisanych tam zdarzeń? Jaki jest stosunek tak ustalonych dat do wypadków historycznych, wkraczających w poemat?

Co do drugiej części utworu, co do czasu akcji dwu ostatnich ksiąg *Pana Tadeusza*, wydaje się, że sprawa po długiej dyskusji wyjaśniona została i ustalona już ostatecznie. Dyskusja toczyła się około wspomnianego w poemacie święta M. B. Kwietnej. Na jego bowiem tło rzucił poeta zakończenie *Pana Tadeusza*: publiczną rehabilitację Jacka i radosną ucztę w Soplicowie, goszczącym generała Dąbrowskiego wraz ze sztabem i oddziały korpusu księcia Józefa podczas przemarszu przez Nowogródek. Ponieważ święta takiego nie zna kalendarz, nadto ponieważ poeta w tej części utworu wiodocześnie nie liczy się z rzeczywistością chronologiczną wypadków historycznych, spierano się długo, jak rozumieć to święto i gdzie je umieścić. Pewne szczegóły poematu wskazywały tu wiosnę, inne zaś lato; przechylano się to w jedną to w drugą stronę. Dawniejsi krytycy godzili się na przypuszczenie, że Mickiewicz w ten sposób nazwał święto Zwiastowania N. M. P. i umieszczali czas akcji ksiąg XI i XII w końcu marca, ściśle mówiąc 25 marca, czy mniej ściśle — w kwietniu (Gostomski); Biegeleisen nawet przy pomocy cudacznego rachunku, ustalił datę jego na 6 kwietnia. Późniejsi zaś badacze Tretiak, później Windakiewicz, obierają tu raczej święto M. B. Zielnej (15 sierpnia), przyjmując zarazem, że poeta wyrażność daty zataił umyślnie, wymyślił nazwę święta nieistniejącej i z jakichś tam racyj przyznał mu pewne akcesorja wiosenne. Do tego zdania przychyliła się

ostatni, najszczególowszy badacz tej kwestji, J. Rostafiński, który też poparł je nowemi argumentami, lepiej uzasadnił i sprawę ostatecznie badajże zakończył.

Równie ostatecznego zamknięcia kwestji brak przy chronologii pierwszych dziewięciu ksiąg poematu; nie podano dotąd przekonywująco jasnego rozwiązania trudności, jakie napotyka dokładne ustalenie czasu tej części akcji. Nie można powiedzieć, żeby go nie szukano; owszem, zagadnienie obchodziło badaczy od dawna. Rzecz szczegółowa, od tej właśnie kwestji zaczyna się wogóle stosowanie nowoczesnej krytyki filologicznej do *Pana Tadeusza*. Chronologję jego ustalić częściowo usiłował nieznany bliżej (R. Fr.) autor notatki *Czas w „Panu Tadeuszu”*, drukowanej r. 1862 w *Tygodniku Poznańskim*. Notatka ta i inne późniejsze studia (np. Nehringa) stwierdziły już niejedno. Wiadomo więc, że akcja tej części poematu zaczyna się w piątek i ciągnie się do wtorku; wiadomo też, że pierwotnie i tu miało być nieco inaczej, Tadeusz przyjeżdżał „w imieniny stryja (nieznanego zresztą z imienia) i w niedzielę”.

Ale czy ten czas przyjazdu nie dałby się ustalić jeszcze ściślej, czyby go nie można związać z kalendarzem? Przez długi czas nie przykładano do tej sprawy miarki tak szczególowej, jak do poprzedniej; brak wydarzeń historycznych w tej części poematu sprawia, że pytanie o datę akcji nie narzucało się tak obcesowo. Gostomski więc naprz. mimochodem zaledwie napomknął tu o „upalnym dniu sierpniowym”, ale kwestją, czy to naprawdę sierpień i które mianowicie jego dni, nie widział potrzeby się zajmować. Dopiero A. Niemojewski poświęcił tej sprawie studjum najszczególowsze: „Data wieczoru w Soplicowie” w książce: *Dawność a Mickiewicz*. Wyszedł on ze stanowiska osobliwego: astronomicznego. Kiedy znaki ziemskie—sądził—nie mówią wszystkiego, zapytajmy niebieskich, zobaczymy co o chronologii *Pana Tadeusza* pozwalają wnosić gwiazdy, przyswiecające nad Soplicowem; wiadomo, że stary Wojski tyle im tam poświęca uwagi. Sam pomysł zagadnienia trafny i uzasadniony. Podobną metodą próbowano ustalić również szczegółowo chronologję *Iljady*, ze wzmianki *Odyssei* o zaćmieniu słońca wykombinowano rok zburzenia Troi.

Filarami, na których opiera Niemojewski swe wnioski o dacie wieczoru z księgi VIII, są: Fakt przyjazdu Tadeusza na wakacje, tudzież mapa nieba opisana przez Wojskiego. Przyjmuje on zatem, że Tadeusz przyjechał do stryja z początkiem lipca, w jeden z pierwszych piątków tego miesiąca. Sytuacja zaś w księdze VIII jest taka, że księżyc wschodzi niedługo po zapadnięciu mroku, czyli że jest nie wiele co po pełni. Otóż pełnia w lipcu 1811 r. przypadała na 6 lipca; najbliższym tedy po niej piątkiem jest 8 lipca. To ma być właśnie dzień rozpoczęcia się akcji *Pana Tadeusza*. Z tak ustaloną chronologją w zgodzie jakoby zupełnej jest położenie gwiazd wspomnianych przez Wojskiego. Wszystko to skłania autora do przyjęcia, że Mickiewicz pisząc *Pana Tadeusza*, liczył się z kalendarzem, z lunacjami i położeniem gwiazd. Poprostu, jak twierdzi autor, „przerobił rzecz

całą na globusie i wedle niego datę ściśle ustalił”.

W wywodzie tym zauważyć należy, że mimo wszystko astronomja odgrywa tam rolę pomocniczą tylko; podstawą jego jest założenie pierwsze, teza, że Tadeusz przyjechał do Soplicowa na wakacje, a zatem z początkiem wakacji. Autor nie interesuje się datą pełni księżyca np. w sierpniu, przyjmuje bez wahania, że chodzi tu może tylko o lipiec. Niema co tacić, że przeświadczenie to podzielał przez czas dłuższy również i niżej podpisany; w komentarzu do niedawnego wydania *Pana Tadeusza* pisałem: „że to był lipiec, nie ulega wątpliwości”, próbowałem nawet wprowadzić drobną poprawkę i wyznaczyć pierwszy dzień akcji *Pana Tadeusza* na 19 lipca. Wątpliwości jednakowoż ulega to wszystko, i to dużej. Nie można zaprzeczyć, że przeświadczenie opierało się na przesłankach niedostatecznych. Niemojewski w wywodzie swym ryzykował wiele i łatwo. Żeby usprawiedliwić przyjazd Tadeusza w lipcu przed pełnią, t. zn. faktycznie przed końcem roku akademickiego (w r. 1811 przypadał on na 12 VII n. s.), twierdzi poprostu, z lekkim sercem, że Tadeusz studentem uniwersytetu wogóle nie był, a nawet że nie skończył gimnazjum. Przerwał naukę, w którejś z niższych klas i wyjechał przed końcem roku szkolnego. „Jeszcze długo u nas — dodaje autor — ukończenie dwóch albo trzech klas przez syna obywatelskiego było już niezwykłym wysiłkiem intelektualnym”. Takim właśnie niedouczkiem zrobił autor i Tadeusza.

Wszystko to jest atoli w rażącej niezgodzie z tekstem poematu, gdzie się mówi najwyraźniej, że Tadeusz „kończył nauki, końca doczekał nareszcie”, gdzie podano, że studia jego wileńskie trwały lat 10, a tyle właśnie naówczas trzeba było, by skończyć gimnazjum (6-cio klasowe) i uniwersytet, gdzie wreszcie asesor (w zaniechanym warjancie) wyraźnie robi złośliwy przytyk do niedawnych studjów uniwersyteckich Tadeusza. („Sławną Akademię macie państwo w Wilnie...”) A jeżeli tak, jeżeli Tadeusz przyjeżdża po skończonym roku akademickim, doczekawszy się „nareszcie” końca studjów, to cała kombinacja Niemojewskiego z lipcową pełnią księżyca, z globusem astralnym i t. d. skręca się w rękę, nie ma znaczenia. Dzień 8 lipca należy odrzucić z tego jednego już choćby powodu. A nie jest on jedyny.

Zanotujemy bowiem z kolei, że także dane astronomiczne nie pozwalają przyjąć tej daty. Oprócz Bliźniąt, Sita etc. goście soplicowscy oglądali na niebie w tamten wieczór także i kometę, sławną kometę 1811 r. Otóż wbrew twierdzeniu Niemojewskiego kometa w lipcu tego roku nie była jeszcze widzialna, ani jej głowa ani warkocz. Korzystam tu z informacyj udzielonych mi łaskawie przez prof. Wład. Dziewulskiego, który na podstawie własnych obliczeń i opisów współczesnych omówił szczegółowo sprawę owej komety w liście z listopada 1924 r. Według tego kometa pojawiła się po dłuższem zniknięciu dopiero 20 sierpnia, a w całej pełni (t. zn. już z warkoczem)—u nas widzialna się stała dopiero z początkiem

września. „Jasnym jest dla mnie, konkluduje prof. Dziewulski, że w końcu lipca lub na początku sierpnia nikt nie widział warkocza komety; zatem wyjaśnienie, jakie dał A. Niemojewski, nie jest słuszne“. Tak więc i z astronomicznego względu odrzucić należy przypuszczoną datę 8 lipca.

Nie dosyć tego. Postawić trzeba pytanie w ten nawet sposób: czy dopuszczalna wogóle byłaby tu jakakolwiek data lipcowa, czy koniecznie należy się trzymać tego właśnie miesiąca. Żeśmy się przy tem upierali, wynikało to z pewnego błędu metodycznego i z pewnego niedopatrzania rzeczowego. Badacze dotychczasowi (nie wyłączając piszącego te słowa) wychodzili z niewłaściwego założenia, posługiwali się metodą dedukcji, gdzie jedynie indukcja jest dopuszczalna. Punktem wyjścia i przesłankami wniosowania były im nie szczegóły rozsiane w poemacie (przedewszystkiem elementy krajobrazu), ale fakty postronne, brane do pomocy z poza poematu, więc np. wzgląd na studja Tadeusza, na koniec roku akademickiego i t. p. Postępowanie to było błędne to też spowodowało nas na manowiec. Tem łatwiej, że w pomoc szło tu owo właśnie niedopatrzanie faktyczne, mylne rozumienie życiowej sytuacji Tadeusza.

Mylnie jest mianowicie mniemanie, jakoby Tadeusz, ukończywszy studja, zaraz po zamknięciu roku akademickiego winien był wyjeżdżać do Soplicowa jako do swego domu. Nie Soplicowo bowiem było jego właściwym domem, przynajmniej nie było nim już od dziesięciu lat. Jak Zosię Telimienie, tak jego oddał Jacek na wychowanie w Wilnie jakiemuś księdzu, „który go pilnował i w dawnej surowości prawidłach wychował“ i który go od siebie nie

wypuszczał. W szczególności nie pozwalał mu wyjeżdżać do Sędziego. Działo się to niewątpliwie z wyraźnej woli Jacka, któremu oczywiście chodziło o to by chłopca odsunąć od stron, gdzie żyła zła tradycja o jego ojcu.

Inaczej nie można sobie wytłumaczyć, dlaczego Tadeusz przez cały czas uczęszczania do szkół ani razu nie wybrał się z Wilna do Soplicowa na wakacje. Więc i po skończeniu uniwersytetu nie myślał o wyjeździe w Nowogródzkie; został „w domu“ t. zn. w Wilnie, u swego opiekuna, a do Soplicowa wyruszył dopiero na wyraźne zaprosiny stryja, a jak my wiemy, na wezwanie ojca. Przyjeżdża tam nie jako domownik, ale jako gość, tak go też traktują; „prawem gościa“ sadzają go u stołu wysoko, „przy damach, obok jegomości“, przyjmują go więc z respektem, bez poufałości rodzinnej. Niema zatem żadnego powodu do mniemanja, że musiał on tam przyjechać zaraz po skończeniu roku akademickiego, w lipcu, równocześnie, kiedy koledzy jego rozjeżdżali się do rodziców.

Z tej zatem strony mamy wolne ręce. Bez żadnych ograniczeń synchronistycznych możemy się zwrócić do jedyne go właściwego tutaj źródła, t. zn. do samego poematu, z pytaniem o czas akcji. Czy w tekście *Pana Tadeusza* są dane pozwalające nam ściślej i zasadniej, niż to robiono dotąd, osądzić w czasie wypadki pierwszych dziesięciu ksiąg? Z jakim momentem lata zharmonizował, na tle jakiego to krajobrazu odmalował poeta zabawy i spory cichej wsi litewskiej? Oto zagadnienie. Zobaczmy, że rozwiązanie jego pozwoli nam rzucić ponadto drobny promyk na technikę epicką Mickiewicza wogóle. Sprawa zatem nie zupełnie błaża.

Stanisław Pigoń.

„Jak świat światem...“

„Jak świat światem nie będzie Niemiec Polakowi bratem“ poucza stare przysłowie, oparte na więcej niż tysiącletnim doświadczeniu, które, wbrew tylokrotnie podejmowanym próbom nawiązania lepszych, sąsiedzkich stosunków, w końcu stale oddaje słuszność nieomylności instyktu narodowego, z którego właśnie rodzą się przysłowia. Po idylli locarneńskiej niechybnie następuje... Genewa. Tak jest dzisiaj, tak było niejednokrotnie w przeszłości, czy w przyszłości możemy spodziewać się jakichś zasadniczych zmian?

Tu następuje się pytanie: jeżeli względy polityczne, współzawodnictwo na polu gospodarczym, pogłębia stale ową przepaść uprzedzeń i nienawiści dzielącą obydwie narody, czy nie jest możliwe braterskie zbliżenie się przynajmniej wybranych jednostek w dziedzinie ducha: piękna, wiedzy, pracy kulturalnej?

Odpowiedź na to pytanie, chociaż pośrednią dał świeżo Nowaczyński w feljtonie „Goethe a Polska“ napisanym z powodu wystawienia na scenie warszawskiej „Fausta“ w przekładzie Zegadłowicza, który w naszym świecie literackim tyle sprzecznych wywołał sądów.

Świetny feljtonista ze zwykłym sobie temperamentem przedstawił Goethego, jako wielkiego, szlachetnego przyjaciela Polaków, chcąc prawdopodobnie w ten sposób zyskać sympatje publiczności naszej dla autora i dla tłumacza. Mimo najgłębszego szacunku dla p. Nowaczyńskiego, jego talentu, odwagi przekonań, w tym wypadku absolutnie nie mogę się pogodzić z jego wywodami. Po pierwsze bowiem: „co ma piernik do wiatraka?“ „Faust“ w oczach kulturalnego świata, a więc i naszych był i pozostanie zawsze—„Faustem“ całkiem niezależnie od tego, jakie uczucia twórca jego żywił do... Polski. Powtóre zaś charakterystyka Goethego, jako przyjaciela Polaków, niestety sprzeciwia się absolutnie rzeczywistości, sprzeciwia się prawdzie historycznej.

W imię tej właśnie prawdy pragnę tu słów tych kilka skreślić.

Nowaczyński oparł sąd swój o stosunku Goethego do Polski na dwóch przedewszystkiem faktach: jego podróży do Krakowa, oraz bytności Mickiewicza w Weimarze. Otóż właśnie obydwie te fakty jaknajdobitniej świadczą przeciwko wywodom Nowaczyńskiego.

Goethe przedsięwziął podróż swą do Polski w dobie, gdy niedoceniając własnego geniuszu poetyckiego, a przeceniając swe zdolności, odkrycia i pomysły naukowe, całkowicie pochłonięty był sprawami przyrodniczymi. Podróż jego miała na celu zbadanie Karpat pod względem geologicznym i mineralogicznym. Że w swej podróży zahaczyć musiał o Kraków — było to zrozumiałe i niemal konieczne, natomiast niezrozumiałe jest i da się chyba wytłumaczyć jakąś dziwną niechęcią czy uprzedzeniem do „barbarzyńskiego kraju“, że wielki esteta nie raczył nawet zwrócić uwagi na niezaprzeczone i tak swoiste piękno naszej pierwszej stolicy, nie pociąga go typ naszego ludu, górali w ich charakterystycznych strojach, z podaniami, pieśniami, chociaż interesował się żywo poezją ludową Serbów, Greków, a nawet... Litwinów.

A teraz słów kilka jeszcze o owej sławetnej wizycie Mickiewicza u Goethego w Weimarze. Epizod ten znamy przeważnie z pamiętników Odyńca, który przedstawia i koloryzuje wypadki w sposób pochlebny dla Mickiewicza, nie zapominając przytem i... o sobie. Warto by jednak zobaczyć, jak wygląda medal ze strony przeciwej, niemieckiej, przedewszystkiem ze strony samego Goethego. Na ten temat zamieściłem w swoim czasie artykuł p. t. „Mickiewicz i Goethe“ w n-rze 2-im „Kwartalnika Litewskiego“ (czerwiec r. 1910). Pozwolę tu sobie przytoczyć kilka faktów.

Więc przedewszystkiem sam zaszczyt „audjencji“ u nestora poetów niemieckich zawdzięczał Mickiewicz nie własnej sławie ale wyłącznie protekcji i dość długim zabiegom p. Marii Szymanowskiej. Jak wiadomo łączyła Goethego bardzo głęboka sympatja z Szymanowską, w której podziwiał talent muzyczny, europejski rozgłos, niemniej jak i piękność o typie wybitnie wschodnim. Podczas krótkiej zresztą wizyty Mickiewicza w letnim domku Goethego zaznaczył gospodarz może aż nadto wyraźnie, że ceni gościa swego jedynie jako znajomego i protegowanego Szymanowskiej: „Il m'est très agreable de voir les amis de M-me Szymanowska, qui m'honore aussi de son amitie“. Podkreślił to raz jeszcze w krótkim i zresztą dość marnym dwuwierszu („Dem Dichter widm ich mich“), który na prośby Odyńca ofiarował Mickiewiczowi. Wierszyk ten w starych wydaniach Goethego stale figurował pod tyt. „An M-me Szymanowska“. Nawiasem mówiąc niema on nic wspólnego z dłuższym, drukowanym wierszem „Des Menschen Tage sind verflochten“ o którym mylnie wspomina Chmielowski.

W liście pisanym w tym właśnie czasie do swego przyjaciela, Zeltera, narzeka Goethe gorzko na stratę czasu spowodowaną odwiedzinami gości, którzy „nic nie przynoszą, ani nic nie unoszą z sobą“, w dzienniczku zaś swoim, prowadzonym z pedantyczną akuracnością, notuje krótko: „die beiden Polen“ — nie raczył nawet zanotować nazwiska poety polskiego, który, dość młody, posiadał już znaczny rozgłos, o czem świadczyć może fakt, iż obecny w tym czasie w Weimarze światowej sławy rzeźbiarz, Francuz, David d'Angeres uważał sobie za zaszczyt odtworzyć rysy naszego wieszczka w znanej, pięknej płaskorzeźbie.

Zresztą, podobnie jak stosunek Goethego do Polski nie może oczywiście wpłynąć na taką lub inną z naszej strony ocenę „Fausta“ czy inne-

go arcydzieła wielkiego niemieckiego poety, tak z drugiej strony przyjęcie, jakiego doznał Mickiewicz w Weimarze, najniżej nie przynosi ujmy ani jemu, ani naszej dumie narodowej. Pamiętajmy, że z wizytą u osiemdziesiątletniego Goethego nie był wieszcz Adam — był podróżnik Mickiewicz, ciekawy wszelkich osobliwości. Zbyt wielka przepaść duchowa dzieliła tych dwóch największych geniuszów dwóch odrębnych ras i narodów, aby możliwem było wzajemne zbliżenie się, poznanie i zrozumienie.

Żeby powierzchownie bodaj wyczerpać temat o stosunku Goethego do Polski, nie od rzeczy będzie wspomnieć jeszcze, że Goethe, który żywo interesował się także sprawami bieżącymi, był autorem pierwszego bodaj projektu antypolskiego, który w stokilkadziesiąt lat potem zaszczyt by przyniósł sławetnej trójce Hansemann—Kennemann—Tiedemann.

Było to po drugim rozbiórce Polski, po wcieleniu ogromnej połaci, aż po Wisłę, rdzennie polskiej ziemi do Prus. Goethe, który przecie prusakiem nie był, zainteresował się tym faktem, nie widział w tem pogwałcenia czyichkolwiek praw i uznał za konieczne, celem ścisłego i trwałego zespolenia nowych prowincji z Prusami, jaknajprędzej i całkowite zniemczenie ludności polskiej. Projektów swych nie opiera wprawdzie na środkach gwałtownych, rozumiejąc, że gwałt gwałtem się odpiera, doradza natomiast rządowi pruskiemu stworzenie wędrownych trup teatralnych, które, objeżdżając kraj zdobyty, urządzałyby po wsiach i miasteczkach darmowe widowiska. Szkicuje także repertuar tych propagandowych teatrów: sztuki grywane w języku niemieckim, dzięki wyrazistej mimice mają być zrozumiałe każdemu. Mają one wykazać wyższość kultury niemieckiej nad barbarzyńską kulturą polską, zarazem wykazać jakie korzyści Polakom zapewnić może znajomość języka niemieckiego. Bohaterem sztuki ma być Polak zniemczony, który strojem i obyczajem dodatnio różni się od ciemnego i śmiesznego tłumu swych rodaków i w końcu dzięki swej umiejętności języka niemieckiego zyskuje bogactwo, stanowisko wpływowe i t. p.

Kto ciekaw bliższych szczegółów, niech przejrzy kompletne wydanie dzieł Goethego (Mayers Klassiker Ausgabe).

Tak przedstawia się owa wielka miłość Goethego do narodu polskiego.

A wnioski? — Że Mommsen, który ogłosił Słowian „für eine minderwertige Nation“ i rądzi „pałką bić po łbach“ bynajmniej nie był wśród wybitnych swych rodaków odosobnionym, że ducha pychy rasowej i pogardy dla wschodnich sąsiadów odziedziczył po największych geniuszach swego narodu, którego ducha nie zmieni — duch Locarna. Czy w takich warunkach zbliżenie się kulturalne jest możliwe — odpowiedzieć łatwo.

Co do nas, nie przeszkodzi to nam narówni z innymi korzystać z istotnych zdobyczy kultury niemieckiej, jednocześnie jednak nie powinniśmy zapominać o tem, że bez porównania bliższą duchowo jest nam kultura romańska, i że „złoty wiek“ Polski rozpoczął się wtedy, gdyśmy się otrząsnęli od wpływów niemieckich i sięgnęli wprost do źródła i skarbnicy wszelkiej kultury — do Włoch.

Jan Obst.

Niedokończone przedstawienie.

(Z dziejów polskiego teatru szkolnego).

Uczniowie szkoły powiatowej w Telszach z niecierpliwością wyglądali wakacji. Był to już schyłek czerwca r. 1842 i w klasie V kończono egzaminy przed zamknięciem roku szkolnego.

Sama szkoła przeżywała okres przejściowy. Wyrwana przed kilku laty z pod zwierzchnictwa OO. Bernardynów, którzy ją od roku 1797 utrzymywali i nią kierowali, miała „dozorcę“ rosjanina ex-pułkownika Bazanina, zaś wiadomości nadchodzące ze źródeł miarodajnych zapowiadały całkowitą jej reformę już w następnym roku na „Szkołę Szlachecką“ z ostatecznym usunięciem z niej niedobitków nauczycieli — zakonników i zastąpienie ich wyłącznie osobami świeckimi. Klasy młodsze były już wolne po egzaminach i oczekiwały bezczynnie na uroczyste tradycyjnym zwyczajem publiczne ogłoszenie promocji.

W takiej to chwili niewiadomo w czyjej głowie zrodziła się myśl zabawienia się w teatr amatorski.

Młodzieży w to i graj. Przedsięwzięcie okazało się łatwe do urzeczywistnienia. Tembardziej, że właściciel jednego z „Domów Zajezdnych“ już dawno przerobił stodołę na „salę teatralną“, od pewnego czasu goszczącą jakąś wędrowną trupę aktorów, której spektakle szczególnie popularnością cieszyły się u młodzieży studenckiej. Sala natenczas była wolna, aktorzy bowiem rozjechali się do miasteczek pobliskich na jarmarki i odpusty.

Zwierzono się wtedy rodzicom, przybrano do udziału i pomocy braci i kuzynów z poza szkoły i w najściślejszej tajemnicy przed pochłoniętymi egzaminami Bazaninem, zabrano się do rzeczy z młodzieńczym zapałem i radością.

Niewiadomo z czyjej porady wybór sztuki padł na trzyaktową komedię pod fascynującym chłopców tytułem „Rozbójnicy w Górach Ponarskich pod Wilnem“.

Nieznany autor za osnowę do niej wziął popularną legendę wileńską o podmiejskim opryszku Piekarskim, rzeczywiście około roku 1809 grasującym w górach Ponarskich. Będąc przedtem kamerdynerem u różnych magnatów, nauczył się on mówić biegle po francusku i niemiecku i liźnął nieco nauki. Niezwykłej odwagi i zręczności, mając pod sobą podobno aż kilkuset zdeterminowanych na wszystko ludzi, był postrachem wyjeżdżających za miasto mieszkańców Wilna. Wysłany przez władze oddział wojska musiał stoczyć z Piekarskim formalną bitwę zanim go ujął żywcem. Ten wileński Rinaldo Rinaldini w końcu przyplacił życiem swe zbójceckie sprawki, lecz pozostała po nim na długie lata pamięć w licznych opowieściach i anegdotach¹⁾.

Znana zresztą była już od dawna ze sceny wileńskiej. Afisz spektaklu z dn. 6 marca 1827 r. wymienia następujące osoby, biorące udział

w sztuce: *Zacniewski* — oficer wysłany od rządu dla wyśledzenia rozbójników, *Adolf* — młodzieniec, mieszkający w Wilnie, *Emilja* — jego kochanka, *Piotr Dukaciewicz* — obywatel wileński, *Kasperek* — człowiek bez funduszu, były jego służący (z pewnością ów herszt opryszków), *Kasia* — mleczarka „okolicy wileńskiej“, *Brykajto* — tymczasowy zastępca herszta rozbójników, *Kiwajko* — jego poufały, *Borys Cygan*, *Maruszko*, *Borasz* i *Iwan* — czterej rozbójnicy, *sierżant*, wreszcie *żołnierze* i *zboje*. Rzeczą dzieje się w Górach Ponarskich.

W rolach głównych zespołu teatru wileńskiego występowali wówczas: Józef Rogowski (jako oficer Zacniewski), Djonizy Każyński (Kasperek), Anna Górska (Emilja), Izabela Górska (mleczarka Kasia) i inni²⁾.

Gdy do tego wszystkiego dodamy jeszcze zapowiedziane w afiszu śpiewy, marsze i tańce, obok przywiązanej do treści sztuki bitwy i barwnych mundurów wojskowych, to zrozumiemy jak bardzo musiała ona przypaść do gustu młodocianym wykonawcom, których najmilszą zabawą było „wojsko“ i „bitwa“.

Termin przedstawienia również nadarzył się wyborny. W dniu 25 czerwca przypadają urodziny cesarza Mikołaja, oczywiście świętowane uroczystie z całą „galówkową“ pompą. Z tej okazji, a i nie bez ukrytej myśli podsunętej przez starszych, na zakończenie widowiska dodano hymn „Boże cesarza chroń“, który mieli odśpiewać chóralnie uczniowie na tle iluminowanych „cyfr“ cesarza i jego córki wielkiej księżniczki Aleksandry Mikołajówny.

Widowisko, mające na celu jedynie zabawę, było bezpłatne. Zakrzętnięto się około niego tak raczej a konspiracyjnie, że jeszcze w dniu spektaklu w południe podczas nabożeństwa galowego nic o nim nie wiedzieli ani horodniczy telszewski, major Puzyrewski, ani sam Bazanin, który dowiedział się o mającym odbyć się przedstawieniu dopiero przed samem jego rozpoczęciem i to zupełnie przypadkowo od biorącego w niem udział ucznia klasy IV Aleksandra Simonowicza, aczkolwiek uczniowie sami roznosili zaproszenia i wieczorem w sali teatralnej stawiła się publiczność „z całych Telsz“.

Doprawdy trudno jest zrozumieć jakim sposobem te wszystkie przygotowania, odbywające się pod bokiem mikołajowskiej władzy policyjnej i zwierzchności szkolnej, mogły ujsć ich bacznej uwagi. Niemniej godne są podziwu znakomite zakonspirowanie młodzieży i pobłażliwość ich rodziców, spowodowane prawdopodobnie obawą, aby władze nie przeszkodziły zawczasu odbyciu się widowiska polskiego i pragnieniem zaskoczenia ich faktem dokonanym,

¹⁾ Jan ze Śliwina (A. H. Kirkor). Przechadzki po Wilnie. 1856 r. str. 142 i wydania późniejsze.

²⁾ Bibl. Wróblewskich. Teka 32-ga (Teatr polski w Wilnie). Na ten afisz zwrócił uwagę moją p. Antoni Miller, za co też jestem mu winien wdzięczność.

z którego już później pod osłoną „hymnu“ i „cyfr cesarskich“ uda się jakoś tam wykreść.

Jakoż z uderzeniem godziny 6 wieczorem 25-go czerwca w Domu Zajezdnym żmudzkiej mieściny powiatowej podniesiono kurtynę i przed oczami „wielu dostojnych osób z miasta“, obywateli ze wsi i rodziców, uczniowie szkoły powiatowej telszewskiej rozpoczęli akt pierwszy—*„Rozbójników w Górach Ponarskich pod Wilnem“*.

Niestety, nie wiemy jak się popisali nasi młodociani aktorzy. Pewnem jest tylko, że żaden wypadek do końca aktu pierwszego nie zakłócił akcji na scenie i spokoju na widowni.

Inaczej natomiast działo się za kulisami improwizowanego teatru telszewskiego.

Jeszcze kurtyna nie spadła i nie przebrzmiały rzęsiste oklaski po pierwszym akcie, gdy wśród aktorów wszczęło się zamieszanie, wywołane przez przybyłych wysłanników Bazanina (nieobecnego na przedstawieniu), żądających w jego imieniu natychmiastowego przerwania widowiska i rozejścia się do domów.

Nie nie wskórano, ani prośbami, ani powoływaniem się na będący jeszcze w programie hymn cesarski i zaraz w pierwszym antrakcie ukazali się na scenie, mocno zafrasowani, uczniowie—aktorzy, z oświadczeniem, że z rozkazu pana dozorecy szkoły, zmuszeni są nie kończąc przedstawienia opuścić teatr, poczem wnet rozpoczęto gaszenie światła.

Nieopisane wzburzenie ogarnęło widownią. Oburzona do żywego szlachta wraz z „osobami urzędowymi m. Telsz“ pod przewodnictwem swego marszałka powiatowego sporządzili na dwa dni później oficjalny „akt“, w którym zarzucili Bazaninowi nie tylko wyrządzoną im obrazę, lecz niedwuznacznie dali do zrozumienia o nieposzanowaniu przezeń osoby monarchy przez niedopuszczenie do odśpiewania hymnu „Boże, cesarza chroń“ i uiluminowania cyfrk najjaśniejszego pana i najdostojniejszej córki jego.

Akt ten w nieobecności marszałka gubernalnego złożył w dniu 10 sierpnia tegoż roku gubernatorowi cywilnemu wileńskiemu Siemionowowi marszałek powiatowy wileński (Telsze wówczas jeszcze wchodziły w skład gubernji Wileńskiej).

Bazanin w obszernej replice na swoją obronę wyjaśnił, że nikt z podwładnych mu nauczycieli i uczniów nie prosił go o pozwolenie na to przedstawienie i że niema pojęcia kto i z czyjego rozkazu przerwał spektakl, on bowiem tylko jednemu uczniowi Aleksandrowi Simonowiczowi przedstawił całą niestosowność wyboru lokalu i sztuki, zdaniem jego „nadzwyczaj nieprzyzwoitej dla młodzieży stanu szlacheckiego“, a nawet wogóle „zarówno dla uczniów jak i osób dorosłych“ choćby tylko ze względu na sam jej tytuł.

Jak było do przewidzenia, sprawa przybrała dla Bazanina obrót pomyślny. Bawiący w Telszach we wrześniu t. r. gubernator cywilny Siemionow osobiście przeprowadził dochodzenie i „po przekonaniu się, że całe zajście wynikło jedynie wskutek nieporozumienia, zebrawszy wszystkie osoby podpisane na akcie i zaprosiwszy dozorecę szkoły Bazanina, udzielił każdemu należytej perswazji (wnuszenie)“.

Po całorocznej włóczędze sprawa oparła się o samego generał-gubernatora wileńskiego Mirkowicza, który zasiągnąwszy opinii kuratora okręgu naukowego białoruskiego Grubera, pismem datowanym 3 lipca 1843 r. uznał Bazanina za zupełnie wytłumaczonego i nakazał ją umorzyć bez dalszych konsekwencji¹⁾.

Tak się też stało.

Michał Brensztejn.

¹⁾ „Dzieło kancelarii popieczitiela bieloruskago uczebnago okruga. Stoła 1-go. O bezporiadcach po Telszewskomu ujezdnomu ucziliszczu po sluczaju predstawlenija uczenikami onago teatralnago predstavlenija 1842 g.“ Bibl. Publ. i Uniw. w Wilnie. Rkp. Sgn. dawna B. 19. 48, obecna tymczasowa 701.

STANISŁAWA ŚWIĘTORZECKA.

Śnieg wszystko przyprószył...

Panie Cezary!

Załączam pański list.

Zniszczyć go nie mogę.

Odczytywać — nie chcę.

Odsyłam go Panu.

Tylko niech się Pan na mnie nie gniewa. Proszę rozważyć wszystko.

W ciągu tych lat piętnastu Pan stał się bogaty i sławny, ja—przestałam być dawną wypieczoną Terenią. Z apartamentów babci generałowej przeniosłam się do skromnego domu dzierżawcy i w nim jestem panią.

Uczciwy człowiek, który mi powierzył swój honor i dwie swoje sierotki za córki oddał, nie powinien się zawieść na mnie.

Cóżbym była poczęła bez niego, gdy po śmierci babci generałowej syn jej, rozżalony na matkę, że kapitały na które liczył, *roztrwonila*, z domu jej precz na cztery wiatry iść mi kazał,...

Poszłam.

Ale cóżby się było ze mną wówczas stało, gdyby nie Czarski? Krewny plenipotent generałowej i najbliższy sąsiad Lipowej, dowiedział się o moim losie, a że widywał mnie czasem w kościele i u stryja swego, a lubił zawsze, ofiarował mi swoją rękę. Nie mogłam mu odmówić.

Nie mogłam.

Bo cóżbym poczęła sama na szerokim świecie ja, niezdarna Terenia, z myślami w gwiazdach, której tak często, pamięta Pan, tak często filiżanki z rak leciały?...

Wprawdzie miałam już wówczas lat dwadzieścia, ale jeszcze wciąż byłam ową Terenią, która nie umiała.

Onegdaj, kiedym Pana u państwa Porajów tak niespodziewanie ujrzała, kiedy tak serdecznie i gorąco o przeszłości mówił mi Pan zaczął, rzeczywistość swojego życia straciłam z oczu.

A kiedy później na prośbę gospodyni domu do fortepjanu Pan zasiadł i z pod palców pańskich (o ileż — dziś biegleszych!) popłynęła Szopena Kolysanka i Preludja, i boska Beethovena Sonata, zapomniałam zupełnie o świecie całym!..

Ujrzałam siebie szesnastoletnią dziewczyną, zbierającą z Panem maliny w kochanej Lipowej. Jak żyję, nigdy, nigdzie odtąd tyle nie spotkałam malin... Nigdzie tak dużych i pięknych!..

Te u nas w Zachłaniu o ileż są drobniejsze i mniej słodkie!

W Lipowej było ich tyle!

Pamięta Pan, wzajemnie oddawaliśmy sobie do koszyków najładniejsze?!

Czasem padał deszcz.

Babcia generałowa kazała nam siedzieć w domu. Pan grał owe różne stare piosenki, a ja śpiewałam... Czy Pan pamięta? Szczególnie jedna:

„Miałam perły od babuni,

„Dwa bieluchne sznurki...“

Babcia słuchała, robiąc frywolity i na koronki jej manszetek spadały lzy. Domyślaliśmy się, że płacze po najstarszym synu, rozstrzelanym w czasie powstania, bo piosenka o owym roku mówi.

A może stara pani płakała wspominając własną wiosnę i swoje jakieś rozbite marzenia?!

Wymykaliśmy się wówczas cichutko z salonu i biegli na wyścigi do altanki na górce, by się przekonać (bo stamtąd najwięcej nieba widać było), czy nie przegląda już z poza chmur szafir luby, pogodę zwiastujący...

Pamięta Pan, jak szybko biegać umiałam? Nie dogonił mnie Pan nigdy, nigdy... I tylko tak zabawnie, tak rozbijając prosił: „Zatrzymaj się, Tereniu, błagam, bo mi serce pęknie!“

A na te słowa ja wnet stawałam jak wryta.

Pamięta Pan, jak to sobie wzajemnie darowyaliśmy gwiazdy, siedząc na ganku w ciepłe lipcowe wieczory?..

I... wie Pan, mojej odnaleźć nie mogę, chociaż czasem jej szukam nad naszym omszałym dachem...

A pańska — świeci zawsze jasno i świetnie na zachodniej stronie.

Losy pańskie, Panie Cezary, z tą gwiazdą związałam i zdawna wiedziałam, że znakomite i niecodzienne będą.

Moje — skromną i szarą poszły ścieżką.

Lecz *niezdarną* Terenią już nie jestem! Wstaje codziennie o świecie, przypilnowuję obrządków domowych, biegam z kluczami z kuchni do spiżarni, ze spiżarni do piwnicy. Jestem obecna przy udoju krów i karmieniu drobiu. Własnoręcznie gotuje mężowi kawę i zaparzam ziółka dla teściowej. Zajmuję się sama ogrodem i pasieką, daję lekcje dziewczynkom. Tylko... grywam rzadko i rzadko śpiewam...

Panie Cezary!

Onegdaj mówiliśmy ze sobą u państwa Porajów za wiele. Upoił nas miód wiosennych wspomnień... Niebezpieczne padły wyrazy...

Dziś znowuż ten list pański... ta pokusa...

Pan pisze:

„Tereniu, chodź ze mną! Ciebie jedną kocham, Tereniu, chodź ze mną. Jestem bogaty, otrzymasz rozwód. Pójdź ze mną, Tereniu...“

Pan jest nie tylko bogaty, lecz sławny już i uwielbiany. Dochodziły nas przecie o tem wieści. Gdzież mi iść z Panem?

Zajęty budzeniem ech, pogubionych w starym Lipowskim parku, zajęty wskrzeszaniem młodzieńczych obrazów, nie dostrzegł Pan zgrubiałych rąk moich, mojej pociemniałej cery, parafjanstwa mego i nieśmiałości...

Gdzież mi teraz iść z Panem, mój przyjacielu?!

Na wielkowiejskich salonach nie zdałabym się przy pańskim boku.

Gdzieżby zaś, mój Boże!..

Tu jest moje miejsce. Tu pozostanę. Aż do śmierci.

Synek mój, którego bardzo kocham, kończy wkrótce lat siedem. Uczyć go trzeba będzie. Ma wyborne ucho i głos niby srebrny dzwoneczek.

Wieczorem nucimy sobie czasem, siedząc przy kominku:

„Miałam perły od babuni,

„Dwa bieluchne sznurki...“

Mąż pali fajeczkę i tklawie patrzy na nas, dziewczynki tulą się do mnie, główka mojego chłopca spoczywa na mojem ramieniu.

Nucimy sobie.

Czemżeby się stało to ciche, pracowite, równe życie, gdybym odeszła stąd?

Nie, nie, Panie Cezary, nie wolno. Zresztą ja już polubiłam ciszę swojego domu, jego radości, a nawet troski.

Dawna Terenia umarła.

Do Lipowej stąd blisko. Tam w pierwszych latach mojego małżeństwa kierowałam czasem moje samotne, letnie przechadzki w niedzielne popołudnia.

Mąż z córkami jeździł do krewnych pierwszej swej żony, teściowa z proboszczem w pikietę grała, ja szłam w stronę Lipowej.

Przez wyłom w murze widać było wybujałym winogrodem ocienione okna, drzwi na głucho zabite, omszałe, walące się schody. W zachwaszczonych, zdziczałych alejach niezliczone okrzykiwały się wilgi, poświstywały kosy, czasem z łopotem skrzydeł oslepiła przeleciała sowa. Na miejscu przesłodkich malin pokrzywy się panoszyły...

Razu pewnego o wczesnym zmierzchu, gdy do grabowej, tej „naszej“ alei zajrzała, z pod drzewa, na którym Pan niegdyś swoje i moje wyciął litery, zdawało mi się, że się nagle zerwał, pierchnął i rozwiął w przestrzeni cień jakiś niesamowity...

Przestraszyłam się okropnie i uciekłam.

Odtąd nie chodzę już tam nigdy. Przez wyłom w murze nie zaglądam.

Teraz dojszby tam nawet niepodobna. Śnieg grubym całunem przysypał tam wszystkie nasze drożyny i ścieżki... wszystkie pamiątki...

Śnieg tamto wszystko przyprószył!..